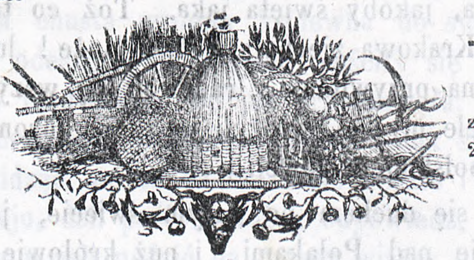
Tom III. **Nr. 9.**

21. Września **1860.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

KRÓLEWNA JADWIGA

Ludwikowa córka.

I. Jej strapienie i radość.

Nie wiele pamiętają ludzie o *Ludwiku*, co był razem polskim i węgierskim królem. Dobrze to mówią, że *nie można dwie sroki za ogon chwytać;* jakoż i on nie podołał w dwóch miejscach panować. Siedział ciągle u Węgrów, a jak się zjawił w Polsce, tak-ci zaraz i uciekał. Toż nie dziwota, że nie było żadnego ładu przy takich rządach; jeden ciągnął tu, drugi owdzie, a tymczasem wrogi napadały na naszą Polskę i broiły gdzie się tylko dało. Szczęściem, że to dłużej nie trwało, jak przez lat dwanaście. Król umarł a z nim skończyły się te nicpotem rządy.

Owóż co się dzieje. Zostawił Ludwik dwie córki: jednej było Marya a drugiej Jadwiga. Maryę wydali Węgrzy za niemieckiego cesarza, a Polacy widząc, że drugie niebożątko Ja-

dwiga sama się została, posłali po nią do Węgier, żeby im też przyjechała królować. Cudnej urody była to panienka, a taka dobra i łagodna, jakoby święta jaka. Toż co to było uciechy kiedy jeno do Krakowa zjechała. Miły Boże! ludu jak mrowia wysypało się na przywitanie; radowali się wszyscy oną cudną panią, i nie wiele myśląc, włożyli jej zaraz koronę na nie wielką główkę, jako polskiej królowej.

Rozniesło się duchem po całym świecie, jako prześliczna panienka króluje nad Polakami, i nuż królowie słać w swaty. Aliści Jadwiga upodobała sobie była jednego księcia niemieckiego imieniem Wilhelma, i tak jej się już zdawało, że bez niego żyć nie może. Lecz owo Polacy, krzywo się na to patrzyli, bo im było jakoś nie do smaku z niemieckim księciem się bratać. Kiedy więc tak myślą, jakby tu królowej wybić z głowy owego gacha, zjechali suto do Krakowa nowi posłowie. Nie byłoć tam na nich wiele złota i jedwabiu, ale za to skóry niedźwiedzie i rysie, a chłop w chłopa jak dęby. Ledwo że w mieście stanęli, tak-ci się zaraz każą prowadzić przed królowę.

Nie mało było dziwów i zdumienia, skoro tylko posłowie przed naszą cudownie urodziwą Jadwigą stanęli. Setnej ochoty dodało im łagodne spojrzenie tej pani.

— Miłościwa królewno — rzekną tedy — przybyliśmy tutaj od naszego pana, *Jagiełły*, co jest wielkim księciem nad całą Litwą i Żmudzią. Zasłyszał pan nasz o twojej anielskiej śliczności, miłościwa pani, i szle nas tutaj abyśmy go tobie na męża raili. Jest on wielkim i mocnym księciem, ale jako jest wielki i mocny, tak nisko chce się ukorzyć przed tobą, jeżeli go przyjmiesz do twojego serca. Jest nasz pan teraz poganinem i my wszyscy w pogańskich bożków wierzymy; ale jeżeli ty przecudna pani zechcesz go przyjąć do siebie, tak on i cała Litwa przyjmie chrzest święty, bo wierzymy w ciebie, jak w anioła Bożego. I już odtąd jako z tobą Jagiełło, tak będzie na wieki Litwa z Polską, jako mąż ze żoną. —

Pobladła Jadwiga na oną mowę posłów i nic nie odrzekła; zaś panowie polscy uradowali się bardzo, bo to, jak widzicie, nie lada szczęście było, najprzód nawrócić takie gromady ludu

na wiarę świętą chrześciańską, a potem połączyć się na wieki z Litwinem, co był poprzód srogim Polski nieprzyjacielem.

Zbladła jak chusta wróciła królewna do swojej komnaty, skoro posłowie odeszli. Tu dopiero puściły się jej łzy z oczków, niby perły najdroższe, bo już przeczuwała, że jej wypadnie porzucić drogiego Wilhelma. Jakoż i tak się stało. Panowie polscy widząc, co to za szczęście będzie i dla królewnej i dla całego kraju, dali posłom dobrą odpowiedź, a owego księcia niemieckiego wzięli pędzić na cztery wiatry. Potemże dalej w prośby do Jadwigi, by też zapomniała o onym gachu, a uczciwie przyjęła litewskiego księcia. Ale królewna ani sobie powiedzieć nie dała, tylko nuż płakać i lamentować za swoim Wilhelmem.

— Ach ja nieszczęśliwa! co ja pocznę nieboga, co pocznę! zaczęła zawodzić załamując ręce.

— Nie rozpaczaj tak miła pani — rzeką jej starsi z panów — książe litewski bardzo jest uczciwy, a do tego dziarski rycerz, jako ludzie mówią. Nie tak owo jak twój gach malowany.

— I cóż mi potem, co mi potem — zawodzi Jadwiga żałośnie.

— Miła pani, ale Polsce będzie dobrze — odezwą się owi. — Tyle ludu nawrócić do Pana Boga jedynego, tyle kraju przyspożyć, a z najzawziętszych wrogów zrobić braci kochających!... Królewno! i Bóg i ludzie umiłują cię za to.

Zadumała się na to Jadwiga i już jej lżej było na sercu, widząc, że ludkowi siła dopomoże, choć się nie stanie po jej własnej woli. I panowie odeszli spokojniejsi i weselsi na twarzy.

Aż tu wejdzie służebna, a ta była zapłacona od Wilhelma, żeby buntować Jadwigę.

— Miłościwa pani — rzecze ta fałszywa — straszne oto rzeczy słyszałam od dworskich. Mówi jeden, że widział Jagiełłę, jako jest człek obrzydły. Mówi, że jest cały jako niedźwiedź kudłami obrośnięty, że nie ma głosu ludzkiego, ale prawie jakoby ryczał, kiedy się odezwie.

Mrowie przeszło królewnę na one słowa, zakryła oczy rękami, ale już sobie w duszy tak postanowiła, że gdyby i umrzeć było ze strachu, to pójdzie za Jagiełłę, a niech tylko Polska będzie szczęśliwa. Kiedy sobie tak ślubuje w duchu owo święte postanowienie, zrobił się hałas wielki na zamku, a tuż weszli wysłańcy do izby z nowiną, że Jagiełło jedzie. Zadrzała Jadwiga na te słowa niby liść osiczyny, i już jakoby święta jaka na stracenie, poszła do królewskiej komnaty przyjmować księcia litewskiego.

Słychać było gwar i szczęk broni z podwórza. Jadwidze biło serduszko z przestrachu, aż tu nagle podwoje się otworzą i wszedł książę litewski ze swoją drużyną. Jadwiga o mało nie krzyknęła z podziwu, taki był tęgi i urodziwy. I nie wiedziała sama, czy to sen, czy na jawie. Aż skoro książę przystąpił do niej i przemówił, dopiero się onej tak słodko zrobiło, jak w niebie.

Mój Boże! widzicie, co to złe języki nie potrafią. Tak strasznie obmówili źli ludzie Jagiełłę i przestraszyli królewnę, ale ona wytrwała w swojej świętej woli, i Pan Bóg ją za to nagrodził. Do razu też zapomniała i o dawnym gachu, bo nie było tęższego a łagodniejszego pana nad Jagiełłę, choć jeszcze był poganinem.

Owóż dobrze cała rzecz się skończyła. Wszyscy nie myśleli o niczem, jeno o weselisku. Jakoż za parę dni ochrzcił najprzód biskóp krakowski Jagiełłę, brata jego i wielu przedniejszych panów litewskich, a potem dał mu ślub z królewną przy ołtarzu. Niezadługo też ukoronowali Jagiełłę jako króla polskiego, a małżonka urodziwej Jadwigi. Więc potem dopiero były huczne gody na krakowskim zamku, a na godach pan młody rozdawał dary bogate. I radość była wielka w Polsce, a w Litwie chrzcili się ludzie i chwalili Pana Boga Najwyższego.

Spiewka o Madeju rozbójniku.

Był las czarny, a w tym lesie Madej, zbój był srogi,
Z straszną pałką jabłoniową siadał wedle drogi;
Kto w las jechał, nie powrócił, śmiałość płacił drogo:
Madej ojca, matkę zabił, nie bał się nikogo.

Rok za rokiem siła ludzi potraciło życie,
Nikt nie wiedział kędy szczeźli, tak ginęli skrycie,
A w jaskini, w wielkiej skrzyni Madej składa gości,
Są tam białe, są i stare, pobutwiałe kości.

Szumią lasy ciemne lasy, boryczą niedźwiedzie,
Dzwonią dzwonki u dryndulki, ktoś tam lasem jedzie;
Słyszy Madej, waży pałkę, na palce się wspina,
A tu drogą krętą jedzie jakiś ksiądz, chudzina.

Trwoga padła na Madeja, rzucił pałkę skrycie,
Skoczył z krzaków: -- Słuchaj księże, jeźlić miłe życie!
Jestem Madej, zbój nad zbóje, już mi w piekle łoże,
Już mi łoże wyścielają w same ostre noże.

Chcę się tobie wyspowiadać; ciężkie moje grzechy!
Bardzo smutne, puste życie pędzę bez pociechy,
Tak mi tęskno, tak mi duszno za tym młodym wiekiem,
Gdym krwi ludzkiej jeszcze nie pił, kiedym był człowiekiem.

I zapłakał Madej gorzko po raz pierwszy może,
I skruszony w sercu ukląkł i mówił w pokorze,
Mówił, mówił długie dzieje, dzieje bardzo krwawe,
A ksiądz słuchał zadumany i miał oczy łzawe.

Skoro skończył spowiedź oną, rzekł ksiądz: — Ciężkie grzechy!
I pokuty wielkiej trzeba dla dusznej pociechy;
Rozgrzeszenia-ć dać nie mogę, może kapłan inny
Razem z Bogiem ci odpuści twoje ciężkie winy.

Zaś pokuta będzie taka: za tą skałą w lesie
Potok górski czyste fale na dolinę niesie,
Z niego w ustach na kolanach będziesz nosił wodę,
Aż ta zaschła pałka twoja puści listki młode.

Gdy okwitnie białym kwiatem i owoce zrodzi,
Wtedy módl się a już wielki Bóg cię oswobodzi. —
Rzekł, i zatknął pałkę w ziemię i pojechał dalej;
I bezpiecznie odtąd ludzie przez ów las chadzali.

Rok za rokiem, długie lata Madej wodę nosił
W ustach swoich, na kolanach, Pana Boga prosił,
Po pas broda mu urosła, wyschły ręce, nogi —
I zakwitła jabłoń biała, dała owoc drogi.

Szumią lasy, ciemne lasy, boryczą niedźwiedzie,
W złotym wozie przez las gęsty stary biskup jedzie,
Jedzie biskup, a tu skwarno wody ni kropelki,
W tem go z lasu gdzieś doleci jabłek zapach wielki.

Szle ksiądz biskup w las woźnicę: — Przynieś jabłek parę —
Szedł woźnica, z niczem wraca, dziwi oczy stare:
— Cuda — prawi — jest tam jabłoń, złota jako żywo,
Pod jabłonią klęczy dziaduś po pas z brodą siwą.

Nic nie mówi, w niebo patrzy, jakiś taki święty,
Jakby miał być dzisiaj jeszcze żywcem w niebo wzięty;
Nad nim złote, wonne jabłka, a gdym rwać się wadził,
Głos z jabłoni do mnie mówi: Ten urwie, co sadził! —

Zadumał się biskup stary, schylił głowę siwą,
Jakby młodość chciał przypomnieć, co ubiegła żywo —
I zawołał: Wielki Boże! toć w tem ręka Twoja!
Ja sadziłem jabłoń złotą — więc to jabłoń moja!

I przystąpił do jabłoni, pod nią dziadek klęczy,
Broda po pas, wyschłe ręce, ale wzrok młodzieńczy,
Patrzał w niebo, nic nie mówił, taki zdał się święty,
Jakby jeszcze o tej porze w niebo miał być wzięty.

Śliczna jabłoń rozsochata; w górze na jabłoni
Miejsce w miejsce jabłka złote o przedziwnej woni;
Oj nie jabłka ci to złote, to duszyczki owe,
Co je z ciała wypłoszyły ręce Madejowe.

Stanął biskup i do starca wyrzekł klęczącego:
— Miłosierny Bóg na niebie — tajne sądy jego —
Największemu grzesznikowi przebłagać się daje,
Jeźli przed Nim z szczerą skruchą i pokutą staje.

Snać przebaczył, widzę jasno, gdy wysłuchał ciebie;
Czas rozwiązać i na ziemi, co rozwiązał w niebie!
Więc odpuszczam — rzekł i ręką gdy tknął starca lica,
W proch go rozwiał, w niebo śnieżna zbiegła gołębica.

A ze wszystkich jabłek złotych białe dusze gonią:
Dwie jak świeczki rozetlały w górze nad jabłonią,
Ojca, matki są to dusze, co tak jasno świecą,
Razem z czystą duszą syna w sine niebo lecą.

Wicenty Srokacz.

Batożki Kościuszki.

W wielkiem mieście w Warszawie, a będzie już temu lat sześćdziesiąt i kilka, żył sobie biedny, bardzo biedny rymarz. Nie był on taki ubogi ani dla tego żeby się zapijał, albo nie pilnował swego rzemiosła, ale jakiemś dziwnem dopuszczeniem Bożem nie miał z nikąd żadnego zarobku, a tu jak na nieszczęście żona go odumarła i zostawiła pięcioro drobiazgu. Było mu na imię Jakób. Dawniej bywało, przy dostatku, mieszkał sobie Jakób w samem mieście, a i najwięksi panowie dawali roboty do niego; ale teraz, miły Chryste, wyprowadził się na brudną i ciemną uliczkę, i tam ślęczał w takiej izbince, gdzie mało co że się wszystko nie waliło.

— Miłościwy Boże — modlił się nieraz Jakób — nie doświadczaj dłużej twojego sługi, bo nie zdoła wytrwać w tej niedoli. Wiem, że jesteś opiekunem biednych i sierót, i już sam poddaję się bez szemrania Twojej świętej woli, ale miej litość nad dziatkami, sierotkami memi, dobrotliwy boże!

Lecz znać nie przyszedł jeszcze koniec jego niedoli, bo owo na dobitek zasłabła mu śmiertelnie najstarsza dzieweczka. Było to bardzo dobre i usłuchliwe dziecko, a samo już sobie zarabiało po parę groszy, szyjąc paniom chusteczki.

Ogromnie strapiony siedział rymarz przy pościeli swego dziecka, a ono biedactwo w gorączce leżało bez żadnej pomocy.

— Cóż cię boli mój robaczku? — pytał się Jakób, biorąc za rękę swą dziecinkę.

— Nic mię nie boli; Pan Jezus się do mnie uśmiecha i woła na mnie — rzekło dziewcze w gorączce.

— Może ci co potrzeba, moje dziecko — rzecze rymarz, a w sercu go samego kłóło od wielkiej boleści.

— Nic mi nie trzeba; ja pójdę do mamy. Mówiła mi mama, że tam jej bardzo dobrze. —

Dreszcz zimny przebiegł po całem ciele Jakóba. Zrozpaczony wstał z ławki i wyszedł z izby, sam nie wiedział po co. I szedł i szedł, aż niechcący skręcił na drogę ku Wiśle, co płynie pod Warszawą. I pomyślał sobie w duszy, że pójdzie się utopić do Wisły, bo mu już strasznie ciężko patrzeć się na własne nieszczęście. Jakoż kiedy tak idzie, i już o Bożym świecie nie myśli, tylko o tem, gdzieby tu skoczyć do wody, zrobił się wielki gwar na ulicy i ogromny tłum ludu wali prosto na niego.

Ocknął się rymarz z zadumy, patrzy, wielka siła ludu, a więc jednego się zapyta:

— Moiściewy, a cóz to za procesya?

— Ho, ho, a to wy nie wiecie? — nasz Kościuszko przyjechał.

— Co mówicie, sam jenerał Kościuszko?

— A jużci że nie kto inny.

— A kędyż on jest, niech mu się choć napatrzę.

— Patrzajcież, tam na koniu jedzie: w białej sukmanie, czerwoną ma czapeczkę na głowie i pawie piórko za barankiem.

Wypatrzył rymarz oczy, spogląda, a tuż prawie jedzie sobie taki wielki jenerał a po chłopsku ubrany. Mnóstwo panów koło niego, kłaniają mu się pięknie, a on tylko rękę wyciąga i czapeczką wywija do ludu, co go z wielkim krzykiem odprowadzał. Nigdybyś nie był poznał, że on taki tęgi wojownik, bo miał-ci taką twarz łagodną a w oczach tyle dobroci, że iście na świętego a nie na rycerza.

Zapatrzył się rymarz w oblicze Kościuszki, i jakoś lepiej mu się na sercu zrobiło; tak prawie, jakoby mu Pan Bóg jaką pociechę zesłał z wysokiego nieba. Więc zapomniał na chwilę o swojem nieszczęściu, a wrócił nazad do miasta z całą gromadą ludu.

Wielka pociecha migała z oczów Kościuszki, więc myślał rymarz po drodze: — A cóż z tego, choćbym się utopił? jeszcze w większej nędzy zostawiłbym dziatki, a to by grzech był śmiertelny. Chyba ja pójdę do naszego jenerała a on mi poradzi. Jakoż wielka nadzieja wstąpiła mu do serca, i już postanowił zrobić tak, jako pomyślał.

Owóż nie wiele myśląey skoczył rymarz duchem do domu, ubrał się co w najlepsze, chociaż i tak liche suknie świąteczne, i idzie prosto do Kościuszki. Łatwo tam było dostać się do tego sławnego jenerała, bo każdego łaskawie przyjmował, choćby i niewiedzieć jakiego chudzinę.

Staje więc Jakób przed Kościuszką, i nuż mu opowiadać całą swoją niedolę. Rozbeczał się aż rymarzysko, tak mu już ciężkie i przykre było to życie.

— A teraz — rzecze w końcu ocierając oczy — nic mi już nie zostało, jeno głód i nędza. Do tego jeszcze zachorowało mi dziewcze najukochańsze, a tu z nikąd jakowej pomocy.

Zachmurzył się jenerał na oną opowiedź Jakóbową, bo mu się takoż przykro w sercu zrobiło. Siągnął do kieszeni, szuka, alec nic tam nie było, tylko jeden talarek. Więc go wyciągnął i rzecze:

— A cóż ja ci pomogę, mój miły, toć nie został mi tylko ten talarek, a to bardzo mało dla ciebie i dla dzieci.

I prawdę mówił jenerał, bo to się najczęściej litościwym ludziom zdarza, że sami wiele nie mają. Porozdaje, porozdziela ubogim, aż mu nareszcie samemu zabraknie.

— Ale poczekaj-no! — zawołał nagle Kościuszko i uśmiechnął się radośnie do siebie — masz tu choć talarka mój Jakóbie, ale tak z nim uczyń, jak ci powiem. Owóż za to i za wszystko, cobyś jeszcze znalazł w domu, narób samych batożków do konia, jeno rychło; a nie frasuj się już o resztę. —

Opowiedział jeszcze rymarz jenerałowi, gdzie mieszka, i uradowany poskoczył zaraz do domu wziąść się do roboty. Jakoś i dziewczęciu jego, Hanusi, lepiej się zrobiło, więc owo nadzieja wielka wstąpiła w serce Jakóbowe.

Minęła prawie niedziela od onych odwiedzin. Kościuszko wyjechał sobie na koniku w miasto, a koło niego cała gromada

panów i jenerałów. Jadą po wielkim rynku, jadą po ładnych ulicach a rozmawiają przytem o różnych sprawach, jakoby wroga pobić, aż tu Kościuszko skręca w bok na ciasną i brudną uliczkę. Dziwno było panom, że jenerał jedzie w taki brudny zakątek, ale nic nie rzekli, jeno się patrzą, co to z tego będzie. Otóż i niezadługo zatrzymał konia Kościuszko przed domkiem Jakóbowym, i woła rymarza po imieniu.

Rymarz wyskoczył co tchu z izby.

— A nie masz tam batożków do konia? — pyta się go jenerał śmiejący.

— Są panie jenerale — odrzekł Jakób i wyniósł razem z zdrową już Hanusią cały pęk batożków.

Kościuszko nachylił się z konia, wziął sobie jeden batożek, a Hanusię pogłaskał po twarzy i dał jej talara na rękę.

Skoro to panowie ujrzeli, nuż jeden za drugim wołać o batożki. I ani się rymarz nie obejrzał, kiedy mu wszystkie batożki rozebrali, a nietylko po talarze, lecz po dwa i trzy za jeden dawali. Pokazało się na końcu, że batożków jeszcze nie starczyło, więc panowie nakazali Jakóbowi, żeby czemprędziej narobił, bo chodziło im o to, żeby mieć taki sam batożek, jak nasz tęgi Kościuszko, za którego każdy życie byłby oddał.

Nie wiedział rymarz, jak panu Bogu dziękować za jego łaskę bezmierną. W oczach mu świeczki stanęły, radość mu mowę odebrała, więc ręką i sercem błogosławił Kościuszkę odjeżdżającego, a w końcu rozpłakał się jak nieletnie dziecko. A kiedy już pierwsza radość przeszła, zwołał dzieci do izby, i razem z Hanusią i wszystką dziatwą ukląkł pobożnie przed obrazem Przenajświętszej Panny Częstochowskiej, i dziękowali wszyscy i gorąco prosili Matki Bożej o powodzenie dla litośnego Kościuszki. Hanusia dziękowała także po cichu za przywrócenie zdrowia, i osobno jeszcze modliła się za jenerała, bo z talarka od niego kupił też Jakób i lekarstwo dla swojego dziecka.

Żył jeszcze w długie lata rymarz Jakób i coraz lepiej mu się powodziło. Mieszkał potem znowu w mieście, roboty miał huk, a gospodarstwo prowadziła mu urodziwa Hanusia. Aleć niedługo wykradli mu ptaszka z klatki. Poszła Hanna za mąż, za młodego i bogatego krawieckiego majstra. Doczekał się

jeszcze Jakób, że jeden ze synów objął po nim rzemiosło; więc żył sobie potem spokojnie, wychowywał wnuczęta, a chwalił Pana Boga i modlił się za Kościuszkę aż do samej śmierci.

Ludka z Myślenic.

Ciekawy Wojtuś.

Perły.

Żona Walentego była bardzo rządna i gospodarna kobieta; ztąd też lubiała porządek i czystość, bo to zwykle w parze ze sobą chodzi. Kiedy więc ciepłe dnie nastały, tak już musiała wszystkie kąty przepatrzyć, czy to kożuch Walentego, czy swoje futerko wytrzepać i wywietrzyć, wszędzie proch powymiatać, zgoła cały dom wyczyścić. Wojtuś, jako ciekawy chłopiec, musiał się wtedy wszystkiego przypatrzyć, wszystko mieć w ręce, a nie o jedno pytał się matki albo Walentego.

Owóż raz się trafiło, że kiedy matka ze skrzyni różne rzeczy wyjmuje i na dwór wywiesza, tak-ci Wojtuś spostrzegł w kąciku pudełeczko, co w niem były matczyne perły. Walentowa wyszła właśnie na podwórze, więc Wojtuś wyjął z pudełka perły, patrzy, ogląda na wszystkie strony i nie mógł zgadnąć, co to jest i do czegoby się zdało.

— Co ty tam znowu ruszasz? — zawołała matka wchodząc do izby.

— Nic moja matuś. Ja sobie tylko myślę, na co te paciorki...

— To nie są żadne paciorki, to perły — odezwie się matka. — A połóżże na swoje miejsce, żeby się gdzie nie zarzuciły, bo to drogie.

— A cóż to są te perły i dla czego takie drogie? — pyta Wojtuś rozciekawiony.

— Połóż tylko, połóż; jak ojciec wróci, to ci wieczorem opowie. —

Położył Wojtuś perły i ledwo mógł doczekać się wieczora, żeby mu ojciec o nich opowiedział. Przez cały dzień myślał

sobie, czy to ze szkła, czy z czego innego. Szczęściem zaczęło się już mroczyć, a Walenty jak zwykle zapalił fajeczkę i usiadł sobie na ławie, żeby odpocząć trochę po robocie.

— Tatuś mi miał o perłach opowiedzieć — rzecze Wojtuś usiadłszy na ławie i przytuliwszy się do ojca.

— A cóż, zasłużyłeś ty na to? — spytał ojciec — niceś matce nie zbroił?

— Nic — odrzekł Wojtuś — cały dzień byłem spokojny.

Kiedy zaś i matka przyznała, że chłopiec się dobrze sprawował, tak Walenty pyknął sobie parę razy z fajeczki i jął prawić o perłach.

— Widziałeś pewnie już nieraz *muszle*, takie co są po stawach; z wierzchu brunatne a we środku białe i szklące? —

— A widziałem — odezwał się Wojtuś — to w tych muszlach żaby siedzą? —

— Otóż widzisz, że nie żaby — prawił dalej Walenty. — Tak-ci to wprawdzie ludzie myślą, ale to wierutna bajka. W tych muszlach, co je zowią *skójki*, siedzą zupełnie osobne zwierzęta, a te nie mają ani ości, ani kości, jeno owo tak jak ślimaki są miękkie, i ztąd zwą też mądrzy ludzie te zwierzęta *mięczakami*. Owe chałupki na wierzch robią sobie te mięczaki same. Dał im Pan Bóg w całem ciele taki sok lepki, co jak go tylko wypuszczą ze siebie, tak-ci on twardnieje i skorupą na wierzchu osiada. A że siła wapna jest rozpuszczonego w tym soku, więc taka muszla to ci tyle dla zwierza, co dla nas domek murowany. Takich mięczaków jest mój chłopcze bardzo dużo. Nie znajdziesz ich wprawdzie wiele u nas po stawach, ale za to w morzu to masz niezmierną moc owych zwierząt.

Owóż w jednem morzu, co strasznie daleko jest od nas, są takie muszle do naszych *skójek* stawowych bardzo podobne, tylko że większe i okrąglejsze. Zwą się one *perłopławy;* są po wierzchu czarniawe, a we środku jeszcze się bardziej błyszczą, jak nasze. W tych to muszlach znajdują się wewnątrz perły. Kiedy bowiem wpadnie co takiemu zwierzęciu między skorupy, choćby ziarnko piasku, tak go to mocno gryzie, nieprzymierzając jak gdyby tobie co do oka wpadło. Ponieważ zaś jest taki

czuły ów perłopław, więc zaraz wypuszcza ze siebie tego soku trochę, com ci już o nim mówił, i obciąga nim ziarnko piasku, żeby mu tak nie dokuczało. Kiedy to zaś zaschnie po jakimś czasie, tak-ci masz już perłę gotową.

— A jakże to dostają te perły? — zapytał Wojtuś wielce rozciekawiony.

Walenty pyknął znowu z fajki i prawił dalej:

— Te muszle perłowe leżą na samem dnie morza, więc bardzo rzecz jest trudna wydobyć je na wierzch. Bo idź-że tam, kiedy Pan Bóg wie ile sągów głębokości, a do tego jeszcze i różne ryby potworne, co człowieka zeżreć mogą. Ale są już tam tacy ludzie, co się odważają na oną podróż do morza; są oni prawie na pół dzicy, bojaźni Bożej nie znają, a życie mało co sobie ważą. Owóż tak się to odbywa ów połów na perły.

Zbiera się kilkadziesiąt ludzi, a ci biorą kilka szerokich i długich łodzi, dzielą się na każdą łódź po kilkunastu, i tak wyjeżdżają na morze. Z tych ludzi połowa są *nurki*, to jest ci, co do wody idą, a połowa ich pomocnicy. Oprócz tego na każdej prawie łodzi jest jeden człowiek, po dziwacznemu ubrany który się mieni być czarownikiem, a w rzeczy jest okpiszem, tylko, że mu ów dziki lud zawierza. Owóż ten człowiek wykrzywia się różnorako, mruczy jak niedźwiedź, i niby to zaklina morze i wszelakie potwory, żeby nie szkodziły nurkom. Na brzegu stoi mnóstwo luda i przypatrują się temu wszystkiemu.

Skoro już ów okpisz swoje tam czary pokończy, tak-ci każdy nurek opasuje się mocnym powrozem; u jednego końca powroza przywiązuje duży kamień, a drugi koniec mocuje dobrze do łodzi. Kiedy to już gotowe, wtedy nurek przyczepia sobie do pasa długą sieć, w jedną rękę chwyta nóż, drugą zatyka nos i usta i tak skacze do wody. Trzeba to tam tęgiego człowieka, żeby w sobie tak długo oddech zapierał. Jakoż za dobrą chwilę rusza się jeden sznur przy łodzi. Ludzie ciągną prędko i wyciągają szczęśliwie nurka, a ten ma pełną sieć perłowych muszli. Skoro sobie odsapnie i odpocznie nieco, tak-ci wysypuje te muszle do łodzi, a sam znowu idzie do wody.

Alećć nie każdemu udaje się to tak szczęśliwie. Nieraz się wydarza, że nurkowi krew nosem i ustami się puści, kiedy za długo oddech w sobie zaprze, a wtedy wyciągają zemdlałego na wierzch. Czasem też się wydarza, że nurka jaki potwór pod wodą napadnie, a on tu nic nie ma, tylko jeden nóż do odrywania muszli. Jużci nie wypada, jeno się borykać pod wodą. Ludzie na wierzchu poznają to zaraz po tem, że się sznur straszliwie rusza, ale ciągnąć nie mogą, bo kto wie, czyby potwór właśnie wtedy nie chwycił nurka za nogę. Więc czekają, co to z tego będzie. Skoro się uspokoi, wyciągają sznur, a wtedy różnie bywa: nurek albo pokaleczony, albo do szczętu poszarpany, albo też i zdrów czasem, jak mu się uda zabić w morzu potwora. A strasznie musi to być przykro umierać pod wodą, i nie pożegnać ani ziemi swojej, ani rodziny, ani tego słoneczka, co człowiekowi przez całe życie świeciło. —

Wojtusiowi aż mrowie po kościach przeszło na to opowiadanie.

— Kiedy już dosyć muszli nałowią — prawił dalej Walenty — wtedy rozkładają wszytkie na suchym piasku, a tu się każda jak na zawiasach otwiera, skoro tylko zwierze zamrze we środku. Wyjmują wtedy perły, czyszczą miałkim piaskiem, i dopiero przebierają co większe razem, a co mniejsze, to znowu osobno.

Drogie są bardzo ładne i wielkie perły, ale bo też droższe życie ludzkie, a nie jedno tam się przytem straci. Ot i nie warto mówić. Obwieszają się ludzie lada świecidłami, a to na nic się nie zda; a inny dla marnego zysku życie swoje niby pieniądz na kartę stawia. Lepiej coby wszystkie perły robili fałszywe. Mało co kosztują, a także się tak dobrze świecą.

Matka twoja ma te parę sznurków jeszcze z wyprawy, a trzyma to na pamiątkę; i chroń Panie od jakiego przypadku lub nieszczęście, dobrze jest mieć jakąś drogą rzecz w domu. —

Zamyślił się tu Walenty i spojrzał przed siebie na ścianę, kędy wisiał obraz Matki Bożej.

— Ale słuchaj no — zawołał na żonę — wszakże dziś sobota, a przed Panną Najświętszą lampka się nie świeci. —

— Oj prawda — zaturbowała się Walentowa, i zwinęła się chyżo, żeby lampkę zaświecić.

Walenty wstał i wyszedł trochę na dwór spojrzeć; a Wojtuś siedział i myślał ciągle o perłach. I kiedy zasnął, to mu się jeszcze śniło, jak ludzie perły łowili.

Rady na rozmaite przypadki w gospodarstwie.

Sposób na krowy kopiące. Jeżelić się trafi, gosposiu, taka krowa niespokojna przy dojeniu a kopiąca, to się na nią nie zżymaj i nie wyklinaj, ale raczej rób to, co ci radzę: Oto weź po prostu kawał jakiegobądź płótna, umaczaj go w zimniej wodzie i taki mokry włóż krowie na krzyż, a zobaczysz, że się zaraz stanie spokojniejszą i już-ci nie będzie broić przy dojeniu.

Aby łaski, koty i kuny nie psuły gołębi w gołębniku, a kur w kurniku. Na drapieżną kunę podają dwa sposoby a obydwa mają byó dobre: Raz, mówią, żeby można dostać futro z wilka, albo też i z ladajakiego psa i powiesić go w onem miejscu, którędybyś miarkował, że się może kuna dostać do kurnika — to się tego zlęknie i nie wnijdzie. Ktoby zaś nie miał takiego futra pod ręką, dla tego jest znowu drugi sposób: Niech weźmie kości wieprzowe i niech je ugotuje z liściem szałwii i takie kości niechaj rozrzuci po kurniku — a ubezpieczy się od kuny. — Na łaski i koty jeszcze łatwiejszy jest sposób, bo jeno sobie narwij *zielonej ruty* i rozwieś ją na gołębniku lub na kurniku — to się tam ani łaska, ani kot nie pokaże.

Co się robi, by wróble wiśniom nie szkodziły? — Uwieś w pośrodku drzewa pół główki czosnku, a wróble będą z daleka wiśnie omijać, bo strasznie tego zapachu nie lubią. — Na ten rok jużcić rada niewczesna, bo jużeśmy wszystkie wiśnie pojedli — ale nic nie szkodzi! da Bóg doczekać na drugą wiosnę, to się możecie przeświadczyć, czy też to prawda.

Pluskwy — Nie dobre muchy i komary, nie dobre i pchły, co nam się w lecie setnie nadokuczają, ale już z tego wszystkiego najgorsze, bo i najobrzydliwsze są *pluskwy.* To też ludzie już nie od

dzisiaj głową kręcą i przemyślają nad tem, czemby się dały najłatwiej wygubić, te obrzydłe pluskwy. Ja wam tutaj podaję dwa sposoby, com o nich wyczytał z innej książki; obydwa mają być dobre i nie potrzebują wielkiego zachodu. Pierwszy sposób jest: abyś wszystkie miejsca, gdzie są pluskwy, wysmarował terpentyną z czosnkiem raz i drugi, a pluskwy od niej po zdychają. Aleć że to z tego bardzo mocno i nie miły jest zapach, to należy potem izbę dobrze przewietrzyć. — W łóżku można też nakłaść ziela tataraku, kwiatu bzowego lub szałwii pachnącej, bo i tego zapachu pluskwy nie lubią. To jest jeden sposób. Drugi trocha dziwniejszy, ale powiadają, że także dobry: Oto nałap sobie z kilkanaście takich pluskiew wielkich, szarych, co to je nazywają *drzewne* i napuść je do izby, a one ci wnet wyczyszczą mieszkanie z pluskiew domowych, bo je co do nogi wyjedzą. Już cić sam nie wypróbowałem tego sposobu, toż nie przysięgam na niego — ale co to szkodzi spróbować, kiedy nic nie kosztuje! a może to i prawda.

RÓŻNOŚCI.

Spryt złodziejski. — Szedł sobie mieszczan w Warszawie w polskim stroju i w czerwonych butach, ale tego nie wiem, czy to teraz, czy też dawniej się stało; dosyć, że się tam zwijali moskiewskie kozaki. Owóż dwóch takich brodatych drabów założyło się ze szynkarzem, że mieszczanowi bóty z nóg zwarują. Zabrali się więc, idą za owym panem i nuż się kłócić a prawie że nie bić. Jeden wrzeszczy *ma*, drugi wrzeszczy *nie ma*. Obrócił się mieszczan na ten wrzask straszliwy i pyta, czemu tak krzyczą?

— Bo mój kamrat mówi, że pan ma słomę w butach, a ja mówię, że nie — rzecze jeden.

— O to wam tylko chodzi? — zawoła mieszczan — nie mam, nie!

— A my by chcieli obaczyć — rzecze drugi kozak — bośmy się założyli.

— Ale gdzież! ta na ulicy nie będę bóta zdejmował — odrzeknie mieszczan.

— Nie na ulicy, nie — prawi znowu kozak — ot tu w tym domu; bardzo prosimy.

Mieszczan poczciwa dusza, idzie do sieni, zdejmuje jeden bót i mówi:

— No widzicie że nie ma słomy.

— Tak, tak, w tym nie ma, ale może w drugim?

— No to ściągnijcie i drugi — rzekł mieszczan.

Kozaki ściągnęli i drugi, i nuż w nogi mój drogi, a mieszczan został boso.

Patrzajcież, co za złodzieje!

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**